

Rozmowy Zakowskiego

- 12 **Dalajlama** o terroryzmie i o tym, czy czuje się uchodźcą

Temat tygodnia

- 14 Grzegorz Rzeczkowski **PiS wyhodował własny „układ”**

Polityka

- 18 **Bogdan Chazan i Jan Hartman** – dwóch profesorów w sprawie aborcji
22 Rozmowa ze **Stefanem Niesiołowskim** o tym, dlaczego odszedł z PO
24 Piotr Pytlakowski **10 lat temu Macierewicz rozwiązał WSI**

Ogląd i pogląd

- 27 Robert Krasowski **Nie taki Kaczyński straszny, jak go malują**

Społeczeństwo

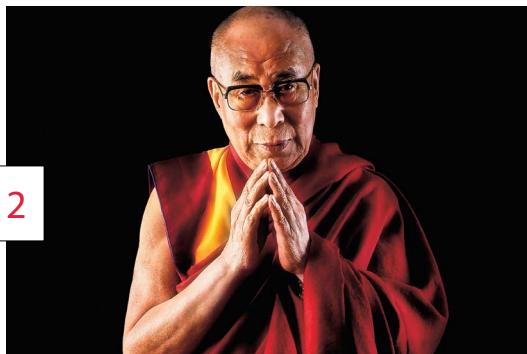
- 30 Arkadiusz Nadobny **Kłopoty z fotoradarami**
33 Co program 500 plus zmienił, a czego zmienić nie zdoła – rozmowa z dr **Ewą Flaszyńską**
36 Patryk Szczepaniak, Konrad Szczygiel **Dobry klimat dla Ubera**
38 Mariusz Sepiolo **Podrabiany rabin**
40 Arkadiusz Lorenc **Kto moderuje sekszaty**

Rynek

- 42 Rafał Woś **Jak opodatkować bogatych**
45 Cezary Kowanda **Lotnisko w Berlinie – imponująca wpadka**

Świat

- 50 Łukasz Wójcik **Blockchainowa rewolucja**
54 Filip Gańczak **NIEMCY W łóżku nie ma znaczyć nie**
56 Dariusz Kała **WĘGRY Referendum Orbána**
58 Jędrzej Winiacki **JAPONIA Kobieta na premiera?**



12

Zakowski przepytuje Dalajlamę



18

Hartman kontra Chazan: spór wokół aborcji



40

Kto kręci sekszatem?



58

Ostra Japonka

Historia

- 60 Rozmowa z **Marcinem Napiórkowskim**, semiotykiem kultury, o źródłach sporu o powstanie warszawskie
63 Jan Olszek **Dzisiejsze kłótnie o tamten KOR**

Nauka

- 66 Etyk nowych technologii **prof. Stefan Sorgner** o sojuszu mózgu i procesora
69 **TECHNOECHO**
70 Paweł Walewski **Nadmiar cholesterolu nie tylko z powodu złej diety**
73 Edwin Bendyk **Spotkanie z Obcym**

Kultura

- 80 Janusz Wróblewski **DiCaprio wspaniały**
83 Janusz Wróblewski „**Ostatnia Rodzina**” – takiego filmu jeszcze nie było
84 Justyna Sobolewska **Prawicowi romantycy**
87 KAWIARNIA LITERACKA **Sylwia Chutnik i Grażyna Plebanek**
88 Aneta Kyzioł **Czym telewizja zwabiła wielkich reżyserów filmowych**
91 MEA PULPA **Kuby Wojewódzkiego**

Ludzie i style

- 92 Ilona Wiśniewska **Myśliwy na Spitsbergenie**
96 Marcin Piątek **Bieda w Legii**
100 Zdzisław Pietrasik **Festiwal Filmowy w Gdyni: kino zaangażowane, czyli jakie?**

Na własne oczy

- 108 Tekst i fotografie Elżbieta Olzacka **Kirgistan: raj dla turystów**

Stałe rubryki

- 4 Mleczko i Mizerski
- 6 Ludzie i wydarzenia
- 76 Afisz
- 103 Passent
- 104 Hartman
- 105 Tym
- 106 Do i od redakcji
- 107 Fusy, plusy i minusy
- 114 Polityka i obyczaje



SŁAWOMIR MIZERSKI Z ŻYCIA SFER

Wykluczanie Misiewiczów

Z rosnącym niepokojem obserwuję zamieszanie wokół osób zwanych Misiewiczami. Jeszcze rok temu o Misiewiczach nikt nie słyszał, tymczasem dzisiaj informacje na temat Misiewiczów wypełniają serwisy informacyjne mediów, a przeciwko Misiewiczom uruchomiony został potężny przemysł pogardy. Zdominowana przez opozycyjne media opinia publiczna sztydzi z Misiewiczów za to, że nie mają odpowiedniego wykształcenia i kwalifikacji. W prywatnych rozmowach Polaków wobec Misiewiczów używane są słowa wulgarne i obraźliwe, kwestionowane jest prowadzenie się matek Misiewiczów. Mówi się, że niedługo sytuacja Misiewiczów jeszcze się pogorszy, bo do ich prześladowania ma się włączyć CBA. Nie można wykluczyć, że do drzwi niektórych Misiewiczów o 6 rano zapukają agenci (a kto wie, czy nie wejdą razem z tymi drzwiami bez pukania).

Na skutek kampanii nienawiści rośnie liczba Polaków uważających, że wstyd jest dziś być Misiewiczem. Wielu Polaków deklaruje, że nie chciałoby mieć Misiewicza za sąsiada, inni z niepokojem myślą o tym, że ich córka mogłaby za jakiegoś Misiewicza wyjść. Nie pomagają apele prezesa Kaczyńskiego, żeby

nie wrzucać wszystkich Misiewiczów do jednego worka, bo obok Misiewiczów cwaniaków, zarzucających brudne sieci bez jego wiedzy i zgody, są też Misiewiczowie patrioci o czystych sieciach, łowiący legalnie z jego nominacji.

Tak czy inaczej wielu Misiewiczów woli się nie przyznawać do tego, kim są. Najbardziej zdesperowani, nie widząc dla siebie szans na dalszą normalną pracę w ministerstwach i spółkach Skarbu Państwa, oddają się do dyspozycji przełożonych lub zawieszają się w obowiązkach. Wszystkich zszokowała informacja, że błyskotliwa kariera dobrze zapowiadającego się członka rady nadzorczej Polskiej Grupy Zbrojeniowej i bliskiego współpracownika szefa MON uległa zahamowaniu tylko dlatego, że media ujawniły, iż jest on Misiewiczem.

O sobiście uważam, że brak wykształcenia i kwalifikacji wytyka się Misiewiczom niesłusznie. Nie oszukujmy się, wykształcony i kompetentny Misiewicz raczej nie byłby dobrym Misiewiczem. Zresztą osoby posiadające wykształcenie i kompetencje już w Polsce rządziły i wiadomo, jak się ten eksperyment skończył. Dlatego pomysł, żeby teraz porządziły osoby odznaczające się skromnością kwalifikacji i nieepatujące na każdym kroku swoim wykształceniem, wydaje się świeży. Zaletą takich osób jest nie tylko to, że nie mają wiedzy o tym, że czegoś nie potrafią, ale i to, że szybko się uczą. I tylko patrzeć, jak najzdolniejsi z nich przestaną być Misiewiczami i awansują na Macierewiczów.



Piwo inspirowane metodami dawnych browarników

Kiedyś nie pasteryzowano piwa – po prostu nie znano tego procesu. Dodawano za to do gotowego piwa dodatkową porcję chmielu, po to by nie psuło się w czasie transportu na znaczne odległości. Legenda głosi, że tak powstała IPA (India Pale Ale) – browarnicy dodawali do jasnego piwa więcej chmielu, by móc je wysłać z Wielkiej Brytanii do kolonii w Indiach, gdyż piwo w trakcie długiej drogi szybko się psuło.

Kiedyś chmielu używano tylko po to, by piwo dłużej pozostawało świeże. Ale odkryto, że nadaje on również piwu niepowtarzalny smak i zapach. Tradycyjnie chmiel dodawany jest do piwa na warzelnii w czasie gotowania. Niestety w trakcie tego procesu wysoka temperatura niszczy nawet do 90 proc. olejków chmielowych i w piwie pozostaje przede wszystkim goryczka. By zachować jak najwięcej chmielowego zapachu, chmiel aromatyczny dodaje się pod koniec gotowania, a w przypadku niektórych piw po raz drugi, do piwa leżakującego w niskiej temperaturze. Na tym właśnie polega **chmielenie na zimno**.



Tyskie Niepasteryzowane to jasne piwo dolnej fermentacji. Piwowarzy, by uzyskać lekki i rześki, a jednocześnie aromatyczny bukiet piwa, pominięli proces pasteryzacji oraz zastosowali dodatkowe chmielenie na zimno. – *Aby uzyskać ten rześki smak i jednocześnie nie zwiększać intensywności goryczy musieliśmy poeksperymentować z różnymi dawkami chmielu. Chcieliśmy też zachować polską duszę tego piwa. Cel udało się osiągnąć przez dodanie na zimno, do leżakującego piwa, polskiego chmielu Marynka, która dostarcza piwu zielonych nut w postaci zapachów leśnych, żywicznych i delikatnie kwiatowych* – mówi Leszek Popiołek, główny piwowar Tyskich Browarów Książęcych. – *Jasny słód jęczmienny daje mu stonowaną pełnię smaku i krystalicznie żółtą barwę* – dodaje.

Delikatna goryczka, słodowa pełnia smaku, chmielowy bukiet i rześki finisz to tylko niektóre z cech, które sprawiają, że Tyskie Niepasteryzowane posiada smak naprawdę świeżego piwa.



PROMOCJA



Nigdy nie jeżdżę po alkoholu

Kup książkę

10 złotych na wolność



Jerzy Baczyński

KOD wrócił. I to w niezłej formie. Obóz władzy zdążył już wielokrotnie ogłosić śmierć albo przynajmniej agonię Komitetu Obrony Demokracji, a okazało się, że w warszawskiej manifestacji wzięły udział tłumy, choć tradycyjnie nie wiadomo, jak liczne: coś między 12 tys. (jak podał starszy aspirant) a 35 tys. osób (według Ratusza). Dużo; zwłaszcza wobec niezbyt porywającego hasła „przeciw podziałom”. Polacy niepisowi mają poczucie, że są obrażani, atakowani, lekceważeni, że władza traktuje państwo jak łup wojenny, więc ogólne wezwanie, żeby łączyć, a nie dzielić, brzmi tyleż szlachetnie, co beznadziejnie. Ale tak jak sam Komitet przybiera pomału formy organizacyjne, tak też i demonstracje nabierają organizacyjnej i emocjonalnej dojrzałości. Okres spontanicznego, wręcz radosnego, protestu chyba minął; jest poczucie, że trzeba się przygotować na naprawdę długi marsz. Manifestanci, jak w starym dowcipie z czasów komuny, mogliby się już obejść bez jakichkolwiek hasła i rozrzucać puste ulotki, bo „przecież i tak wszystko wiadomo”. Mimo pogodnej, powakacyjnej atmosfery pochodu, w nastrojach – jeśli dobrze odczytuję – dominuje dziś jakaś mieszanka smutnej determinacji i rezygnacji, że trzeba „coś zrobić”, nawet jeśli to nie ma żadnego znaczenia dla władzy. Bo ma znaczenie dla nas.

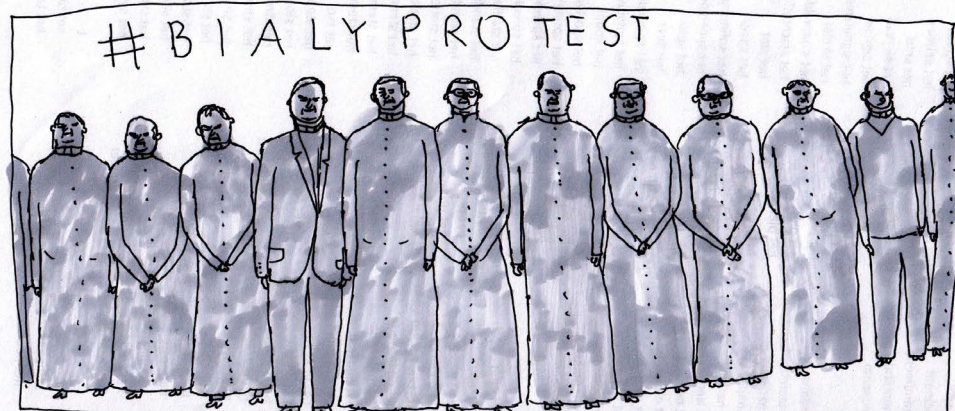
Marsze KOD to wyjątkowe laboratorium polityczne: przez trzy godziny tysiące ludzi drepce pod swoimi flagami i transparentami i gada, gada o polityce, o swoich firmach, o kraju, o dzieciach i rzecz jasna o PiS. Można się nasłuchać. Oczywiście plakaty antypisowskie bywają złośliwe i na ogół śmieszne, ale stosunek do rządzącego ugrupowania wciąż jest bliższy zdziwieniu niż agresji. Po co tak na łapu-capu chcą likwidować gimnazja; tu trzeba pięć razy się zastanowić, bo przecież dzieci nie są z PiS ani z PO? Co będzie, jak rozwiążą Trybunał Konstytucyjny – aresztują Rzeplińskiego? Powołają Kaczyńskiego na króla? Kto zabroni uchwalić ustawę 1000 plus dla każdego członka PiS? Narobią długów, które będą spłacać nasze wnuki. Uchwalą, żeby zgwałcone kobiety wsadzać do więzień? A Macierewicz co? – wpłucze nas w jakąś wojnę z Rosją, każe żołnierzom przysięgać na zamach smoleński? Gdyby transparenty oddawały sens pochodu, powinny być dwa: Co Oni robią! Jak długo to potrwa?

W sprawie „jak długo to potrwa” są wśród aktywnych niepisowców dwie wyraźne opcje. W ostatnich dniach zyskała na sile, wzmocniona przez samego prezesa, opcja „wywrócę się na własnych sznurowadłach”. Już widać, że tradycyjnie, jak przed 10 laty, znajdują wrogie układy głównie we własnych szeregach, że sami żrą się o posady, pieniądze, dostęp do prezesa. Ta armia zmienia się w hałastrę. Żadnej rewolucji ustrojowej nie przeprowadzą, narobią tylko bajzlu. Podobne myśli pojawiają się coraz częściej w poważnej publicystyce. Nasz sporadyczny autor Robert Krawski w tym numerze POLITYKI (s. 27) stawia wręcz tezę, że ten cały PiS to kot udający tygrysa.

Inni obserwatorzy są skłonni skupiać się na gospodarce: to stąd ma przyjść otrzeźwienie. Widać, że plan Morawieckiego, nawet jeśli jest tam wiele dobrych chęci, to tylko kolejne dzieło polskiej literatury romantycznej. PiS destabilizuje właściwie wszystkie systemy państwa, wprowadza chaos, niepewność, których gospodarka nie cierpi. Opowieści Morawieckiego tego nie odwrócą. Wyrzucenie ministra finansów byłoby jedynie potwierdzeniem, że nie da się odpowiedzialnie sfinansować wyborczych prezentów partii.

Druga opcja z tych samych przesłanek wyciąga odmienne wnioski. PiS będzie rządził przez lata. Zagarną na „rympał” wszystkie możliwe stanowiska i wprowadzą system nomenklaturowo-oligarchiczny jak na Węgrzech. Nie zrobisz w kraju żadnego interesu ani kariery, jeśli nie dogadasz się z partią. Będą mieli, już mają, wszelkie instrumenty nacisku, szantażu, korumpowania, wymuszania konformizmu jak za PRL. System szkolny, nachalna propaganda państwowo-medialna – będą kształtowały młode pokolenia w duchu pisowsko-kukizowskim. Faktyczne zerwanie relacji z Unią pozwoli na rozprawienie się z opozycją, sądami, niezależnymi mediami, co prezes właśnie zapowiedział w Jachrance. Gospodarka będzie trzeszczeć, ale ludzie długo tego nie zauważą, uśpieni rozrzucaniem pieniędzy na koszt przyszłych pokoleń. A jeśli będą narzekać, najpierw urządzi się dla nich igrzyska polityczne w szukaniu zdrajców i sabotażystów, a potem jak ktoś podniesie głowę, to w nią dostanie; być może rękami narodowców.

Między tymi dwiema opcjami krążą dziś kodowe emocje. Nikt, pewnie nawet sam prezes, nie wie, w jaką stronę to pójdzie. I też nie wiadomo, co zrobi gorszy sort? Będzie stawiał opór? Opuści? Na razie na dwoje babka wróżyła. KOD maszeruje, ludzie gadają na PiS, buntują się lekarze, nauczyciele, twórcy kultury. Ale do KOD zapisało się jak dotąd ledwie parę tysięcy osób, a składki i zbiórki pieniężne przynoszą skromny urobek. Miliony ludzi głosowały przeciw PiS, gdyby nawet co dziesiąty wpłacił chociaż 10 zł miesięcznie, „na wolność”, byłoby z czego finansować niezależne organizacje i także pomagać ludziom pokrzywdzonym przez partyjny najazd na państwo. Jedno wiadomo: PiS robi nam test.



Sfrustrowani, oburzeni, wściekli

To nie będzie chłodna jesień, przynajmniej w polityce. Pokazał to ostatni weekend, kiedy na ulice wyszli medycy, kodowcy i przeciwnicy barbarzyńskiej ustawy zakazującej aborcji. Podobnych protestów w nowym sezonie politycznym będzie więcej.

Najpierw ruszyła służba zdrowia. W sobotę w samo południe. Kilku-tysięczny tłum lekarzy, ratowników, fizjoterapeutów, dietetyków, pielęgniarek oraz przedstawicieli innych grup zrzeszonych w Porozumieniu Zawodów Medycznych przeszedł z pl. Zamkowego na pl. Konstytucji. Wśród manifestujących, którzy do Warszawy zjechali z różnych części Polski, byli głównie młodzi ludzie – dopiero zaczynający karierę albo jeszcze kończący studia. Wszyscy sfrustrowani warunkami pracy: głodowymi stawkami, brakami kadrowymi, koniecznością pracy ponad normę – na dodatkowych dyżurach, w kilku miejscach naraz, byle tylko związać koniec z końcem. Przepracowani, zmęczeni, niedocenieni co i rusz skandowali: „Chcemy leczyć w Polsce!”. Główny postulat: zwiększenie nakładów na ochronę zdrowia z 4,4 proc. PKB, jak obecnie, do 6,8 proc., czyli poziomu, który według WHO zapewnia bezpieczeństwo obywatelom. – Po 6–7 latach ciężkiej nauki dostajesz taką podstawę etatową, jaką miałbyś i bez studiów. Żeby jakoś żyć, trzeba więc nadrabiać godzinami. Niektórzy nasi znajomi pracują 400–450 godz. miesięcznie. My sami dorabiamy poza zawodem – i to lepsze pieniądze – opowiadają Krzysztof i Aleksandra, ratownicy z Bydgoszczy.

Manifestacja miała spokojny przebieg. Choć były trąbki, gwizdki i nagłośnienie, nie było tak ofensywnej oprawy, jaka zazwyczaj towarzyszy demonstracjom związkowców. Może dlatego, że młodych lekarzy nie wsparli związkowcy z Solidarności. To temat, którego medycy nie chcieli komentować. – PZM jest apolityczny – ucinali. I rzeczywiście transparentów atakujących konkretną partię czy rząd nie było widać (były za to tablice: „Godzina pracy lekarki to wartość mazaka i kartki”, „Dziś jest czas na zdrowie+”, „Jeszcze Polska nie zginęła, póki my leczymy”). Medycy tłumaczyli, że problem pracy i płacy narasta od lat i również poprzednie gabinety niewiele zrobiły, aby go rozwiązać. Tyle że teraz w fotelu ministra zdrowia zasiada Konstanty Radziwiłł, były prezes Naczelnej Rady Lekarskiej (2001–10), który kiedyś wraz z nimi domagał się zwiększenia wynagrodzeń w służbie zdrowia i mówił, że pensja rezydentów powinna wynosić dwie średnie krajowe. Medycy chcieli przypomnieć mu te słowa. Radziwiłł zaskoczył ich i pojawił się pod koniec demonstracji na pl. Konstytucji. Jednak ta nieoczekiwana wizyta okazała się wizerunkową kląpą ministra – wszystko



© BARTŁOMIEJ KUDOWICZ/FORUM

dlatego, że zaraz po swojej przemowie Radziwiłł umknął przed pytaniami demonstrantów, czym tylko ich rozdrażnił.

Następnym krokiem może być strajk generalny. Albo emigracja. Już teraz OECD alarmuje, że na tysiąc mieszkańców przypada w Polsce 2,2 lekarza. To jeden z najgorszych wyników w Europie (średnia 3,3).

Dziś nie damy się podzielić! – krzyczeli medycy. A kiedy kończyli swoją manifestację, pod siedzibą Trybunału Konstytucyjnego zbierali się członkowie i sympatycy Komitetu Obrony Demokracji, którzy o 15 mieli ruszyć w kierunku pl. Piłsudskiego z hasłem: „Jedna Polska, dość podziałów”. Dla KOD był to pierwszy powakacyjny sprawdzian zdolności do dalszej mobilizacji

mas. W ostatnich miesiącach ruch wytracił nieco prędkość, stowarzyszenie zajęło się budowaniem struktur, nie organizowało tak licznych manifestacji (POLITYKA 38). Sobotni marsz pokazał, że Komitet wciąż potrafi wyprowadzać na ulice oburzonych antydemokratycznymi zapędami obecnej władzy – choć było ich zdecydowanie mniej niż podczas majowego marszu współorganizowanego przez KOD, PO i Nowoczesną, tym razem ok. 25–30 tys. (szacunki Ratusza). Atmosfera była jednak podobna. W tle „Chcemy być sobą”, dookoła flagi: biało-czerwone, niebiesko-unijne, kodowskie; uśmiechnięte twarze, oryginalne transparenty („Dzielić Kaczor ludzi może, lecz z mnożeniem bywa gorzej”). Tylko średnia wieku wyższa niż na marszu medyków. – Starsi pamiętają, jak było za PRL. Moi znajomi mówią, że znają historię, ale nie dostrzegają analogii – tłumaczy Ala, 23-latką z Pabianic, studentka informatyki. – Myślę, że wielu ludzi zwyczajnie jest leniwych, woli powtarzać: a co te marsze zmienia?!

Choć hasło marszu było dość ogólnikowe, konkretne pojawiały się w trakcie. Krytykowane były przede wszystkim zmiany szkolone w systemie edukacji, przypomniano o Trybunale i wciąż niezaprисяżonych sędziach, punktowano arogancję władzy („Misiewiczze”) i protestowano przeciwko bulwersującemu projektowi całkowitego zakazu aborcji, który pod koniec ubiegłego tygodnia Sejm skierował do dalszych prac. „Wspieramy kobiety w walce o badania prenatalne, in vitro, prawo do aborcji” – powtarzano. Stąd też część demonstrantów przyszła ubrana na czarno. To nawiązanie do Czarnego Protestu, czyli akcji zaaranżowanej przez partię Razem, która szybko przeniosła się z internetu na ulice. Czarne Protesty odbyły się w kilku miastach w Polsce w niedzielę – poczerniały m.in. Kraków, Łódź i Poznań.

Ludwika Wujec, która przemawiała podczas sobotniego marszu KOD, przypominała, że właśnie mija 40. rocznica powstania KOR – „zaczynu wielkiego ruchu, który doprowadził do zmiany ustroju i powstania demokratycznego państwa”. KOD też może być takim zaczynem, dzięki któremu uda się odsunąć od władzy „podłą zmianę”. Musi jednak znaleźć sposób na przyciągnięcie młodych. Chyba że PiS sam ich przyprowadzi. Okrutna ustawa przeciw młodym kobietom może wreszcie ruszyć to politycznie obojętne pokolenie.

MALWINA DZIEDZIC



© SZLAGA/FOTONOVA

Zamach państwowy

Miniony tydzień nasilił działania obozu rządzącego, zmierzające do narzucenia własnej wersji tragedii smoleńskiej.

Dowiedzieliśmy się m.in., że Prokuratura Krajowa prowadzi cztery dochodzenia „związane z wątkiem głównego śledztwa smoleńskiego”. Jest wśród nich śledztwo dotyczące zdrady dyplomatycznej, czyli działania na szkodę Polski w stosunkach z rządem obcego państwa. Prokuratura nie wskazuje osób, które podejrzuje o to ciężkie przestępstwo, ale prominentni politycy PiS mówią wprost, że chodzi o Donalda Tuska. Tylko ktoś bardzo naiwny może uważać, że wypowiedzi polityków partii rządzącej są ich prywatnymi opiniami i nie będą miały wpływu na pracę prokuratury. Tak mogłoby być, gdyby ta była niezależna od władzy politycznej, ale przecież jest zupełnie inaczej. Prokurator generalny ma nad prokuratorami władzę absolutną; jest ambitym i ważnym politykiem obozu rządzącego, ale obecnie całkowicie zależnym od Jarosława Kaczyńskiego, którego poglądy na temat przyczyn katastrofy smoleńskiej i odpowiedzialnych za nią są doskonale znane.

W zeszłym tygodniu odwołano też ze stanowiska Macieja Laska, przewodniczącego Państwowej Komisji Badania Wypadków Lotniczych, który kompetentnie, stanowczo i nie dając wyprowadzić się z równowagi, bronił ustaleń komisji Millera.

To prawda, że Polacy są podzieleni w ocenie przyczyn katastrofy smoleńskiej. Przyjmujący wersję o zamachu są wprawdzie w mniejszości, ale jest to mniejszość znacząca. Nie oznacza to jednak, że mity przez nich wyznawane można traktować jako koncepcje równoprawne z rezultatem prac rządowej komisji pod przewodnictwem Jerzego Millera i prokuratury (wcześniej – niezależnej od władzy politycznej). Z jednej strony bowiem mieliśmy – i mamy – do czynienia ze zmieniającymi się, kuriozalnymi teoriami, niepopartymi żadnymi badaniami czy dowodami, wygłaszanymi przez amatorów niemających doświadczenia w badaniu katastrof lotniczych (swoją drogą, niektórzy z nich sprawiają wrażenie, oględnie rzecz ujmując, postaci dziwacznych). A z drugiej – z rezultatami żmudnej pracy specjalistów od wypadków lotniczych, wysokiej klasy ekspertów i prokuratorów.

Przez 10 miesięcy podkomisja powołana przez ministra Macierewicza poszukiwała dowodów na zamach i błędy popełnione przez komisję Millera. Dla uważnych obserwatorów konferencji prasowej podkomisji smoleńskiej, która odbyła się w połowie września, jest oczywiste, że nie znalazła ona ani jednego, ani drugiego. W tej sytuacji decyzja prokuratury o ekshumowaniu szczątków niemal wszystkich ofiar katastrofy jest aktem bezsensownym i okrutnym w stosunku do tych rodzin, które wyraźnie tego sobie nie życzą, gdyż wiedzą, jak zginęli ich bliscy.

Przeżywałem katastrofę smoleńską nie tylko jako narodową tragedię, ale także jako tragedię osobistą. W tej katastrofie zginęło kilku moich bliskich kolegów. Zginął także Aram Rybicki, jeden z najbliższych mi ludzi, z którym przyjaźń zawarłem w szkolnej klasie i przez ponad 40 lat ją kultywowałem. Szliśmy przez życie razem. W pełni solidaryzuję się z jego żoną Małgosią, z ich córką Magdą, z siostrami i braćmi, którzy kategorycznie przeciwstawiają się ekshumacji jego szczątków. I pytam: czy w imię absurdalnych teorii lub podtrzymywania złych emocji w społeczeństwie i mobilizowania „twardego jądra” zwolenników PiS można zakłócać spókoj zmarłych i emocjonalnie torturować ich bliskich?

Niejednokrotnie pisałem, że głębokie i trwałe rozdarcie naszej wspólnoty narodowej uważam za najbardziej bolesną konsekwencję rozpoczętego w 2005 r. konfliktu pomiędzy „Polską pisowską” i „antypisowską”. Teza o zamachu smoleńskim odgrywa chyba największą rolę w jego eskalowaniu i może doprowadzić do tragedii. Próbuję się wczuć w emocje ludzi, którzy wierzą w zamach. Wiem, że gdybym znalazł się w tej grupie, to – pomimo że jestem człowiekiem raczej nieskłonny do ulegania silnym, negatywnym emocjom – pragnąłbym przede wszystkim odwetu i kary.

Anne Applebaum ma całkowitą rację, twierdząc, że teoria spiskowa stała się polską ideologią państwową, która prowadzi do dezawuowania pracy wykonanej przez nasze państwo dla wyjaśnienia przyczyn katastrofy smoleńskiej.

Wydaje się, że „granie” katastrofą przez obóz rządzący może prowadzić do realizacji jednego z dwóch scenariuszy. Pierwszy to ogłoszenie w imieniu państwa polskiego, że 10 kwietnia 2010 r. doszło do zamachu na polską delegację z prezydentem Lechem Kaczyńskim na czele. Powinno mu towarzyszyć wskazanie osób odpowiedzialnych za tę „zbrodnię”. Ten scenariusz jest możliwy, ale bardzo ryzykowny. Zmobilizowałby opozycję i wielu ludzi oburzonych ze względu na obrażanie ich inteligencji i zdrowego rozsądku. Spowodowałby dalsze – tym razem dramatyczne – pogorszenie wiarygodności Polski wśród jej sojuszników i partnerów. Doprowadziłby też na skraj przepaści stosunki z Rosją. Trudno przecież sobie wyobrazić, że po ogłoszeniu rosyjskiej odpowiedzialności, czy współodpowiedzialności, za zamach będziemy utrzymywać stosunki dyplomatyczne i handlowe z tym państwem.

Bardziej prawdopodobny jest więc scenariusz przewleknięcia śledztw smoleńskich (temu mogą służyć ekshumacje ofiar) i prac podkomisji powołanej przez Antoniego Macierewicza. Smoleńska rana będzie dalej jętrzyć. Oba scenariusze są bardzo złe dla Polski, gdyż utrwalają pęknięcie naszej wspólnoty narodowej.

Obrońcy „dobrej zmiany” mówią: demokracja w Polsce nie jest zagrożona, gdyż opozycja występuje w parlamencie i demonstrować – bez przeszkód – na ulicach. I dalej: działają także opozycyjne media i niektóre z nich cieszą się dużą popularnością. Przyznają, to na razie prawda. Czyż jednak nie należy bić na alarm w obronie demokracji w naszym kraju, gdy władza polityczna łamie konstytucję, prokuratura została sprowadzona do roli posłusznego narzędzia w rękach rządzącej partii, „media narodowe” stały się tubą propagandową władzy, a oficjalną ideologią państwową staje się teoria o zbrodniczym spisku Putina i Tuska, który spowodował śmierć prezydenta i elity naszego kraju?

Dr hab. Aleksander Hall – historyk, polityk, profesor w WSiLiz w Rzeszowie. W PRL jeden z liderów opozycyjnego Ruchu Młodej Polski. Minister ds. współpracy z organizacjami politycznymi i stowarzyszeniami w rządzie Tadeusza Mazowieckiego. Zasiadał w Sejmie I i III kadencji. Był przewodniczącym Forum Prawicy Demokratycznej, następnie wiceprzewodniczącym Unii Demokratycznej, przewodniczącym Partii Konserwatywnej i współtwórcą Stronnictwa Konserwatywno-Ludowego. Autor licznych publikacji o tematyce politycznej i historycznej. Kawaler Orderu Orła Białego. W listopadzie 2015 r. w proteście przeciwko ulaskawieniu przez prezydenta Dudę Mariusza Kamińskiego zrezygnował z członkostwa w kapitule Orderu.



GIACOMO CONTI

[Kup książkę](#)



© EAST NEWS

Aleppo za wszelką cenę

Według ambasadorki USA w ONZ ponad połowa ofiar syryjsko-rosyjskich nalotów z ostatnich dni to dzieci.

Apel o opuszczenie części dzielnicy, otwarcie korytarzy ewakuacyjnych, bombardowania i równanie z ziemią. Taki scenariusz spalonej ziemi syryjskie siły rządowe, wspierane przez Rosjan, powtarzały już w kilku miastach opanowanych przez rebeliantów, ostatnio na przedmieściach Damaszku. Teraz przyszła kolej na wschodnie Aleppo, gdzie wciąż mieszka ponad 250 tys. ludzi.

Podczas niedzielnej nadzwyczajnej sesji Rady Bezpieczeństwa ONZ Amerykanie i Brytyjczycy oskarżyli Damaszek i Moskwę o „barbarzyństwo” i „zbrodnie wojenne” w tym największym kiedyś syryjskim mieście. Ambasador USA w Radzie podawała przykłady ataków na wyraźnie oznaczone szpitale i bazy Czerwonego Półksiężycy. Według Samantha Power ponad połowa ofiar syryjsko-rosyjskich nalotów z ostatnich dni to dzieci. Rosjanie mają

używać tam najcięższych bomb penetrujących, które niszczą budynki do dwóch kondygnacji pod ziemią, gdzie najczęściej umieszczone są prowizoryczne schrony.

Po zeszlotygodniowym (negocjowanym przez prawie miesiąc) zawieszeniu broni w Syrii już nie ma śladu. Pierwsi 21 września złamali je Amerykanie, którzy ponoć omyłkowo zbombardowali syryjskie siły rządowe. Dwa dni później prawdopodobnie rosyjskie samoloty niemal doszczętnie zniszczyły 18 z 31 doskonale oznakowanych ciężarówek z pomocą humanitarną z Turcji. Według Syryjskiego Obserwatorium Praw Człowieka obecny atak na wschodnie Aleppo to ostatnia duża ofensywa reżimu Baszara Asada i jeśli uda mu się odzyskać całe miasto, to wojna w Syrii „zastygnie”.

Znowu Corbyn

Mesjasz sfrustrowanej młodzieży zaczyna popierać Brexit.

Sobotnie wybory lidera brytyjskiej Partii Pracy gładko wygrał **Jeremy Corbyn**, 67-letni wielbiciel Marksa, przeciwnik NATO i zwolennik nacjonalizacji. Głosowało na niego 62 proc. członków partii, a na jego umiarkowanego rywala Owena Smitha tylko 38 proc. To wynik masowego zasilenia szeregów partii przez zwolenników twardej lewicy: w 2015 r., gdy Corbyn po raz pierwszy objął przywództwo, liczyła 200 tys. członków, dziś ponad 600 tys. Partia Pracy to największa obecnie partia zachodniej Europy, tyle że bez realnych szans na władzę w wyborach w 2020 r. „Idziemy nad przepaścią z zamkniętymi oczami” – ostrzegał niedawno Tony Blair.

Laburzyści musieli zagłosować, ponieważ w lipcu przeciwko Corbynowi zbuntowała się większość posłów. Krytycy uważają, że ma mizerną charyzmę i zawiódł podczas kampanii przed czerwcowym referendum. Siwy i brodaty ideolog Corbyn to typ wiecznego działacza w swetrze. W epoce brutalnego zaciskania pasa przez torysów Corbyn wyrósł na mesjasza sfrustrowanej młodzie-



© AFP/EAST NEWS

ży. Witają go jak gwiazdę rocka i malują dla niego murale.

Media kpią z Corbyna bezlitośnie. Odstrasza wyborców z klasy średniej i umiarkowaną część własnej partii, której grozić może wojna domowa, a być może rozłam. Corbyn to także koniec marzeń o drugim referendum, lider laburzystów zaczyna popierać Brexit, świadomy nastrojów w *working class*.

Castro prosi Putina

Ostatnie miesiące były na Kubie wyjątkowo gorące, co oznacza większe zużycie elektryczności. Sieć znalazła się na granicy wytrzymałości – i nawet oficjalna Granma ostrzega, że „nadchodzi huragan”, czyli masowe wyłączenia. 95 proc. kubańskiego prądu pochodzi z produktów naftowych. Do tej pory ropę, po dobrych cenach, dostarczała zaprzyjaźniona Wenezuela, ale dostawy stamtąd, z powodu kryzysu, zmalały o połowę. Wyspie grozi ciemność. W tej sytuacji Raul Castro wystosował prośbę do Władimira Putina, aby po starej sowieckiej przyjaźni poratował w potrzebie.

Ale czasy politycznych subwencji wyraźnie odeszły w przeszłość. Z Moskwy przyszła odpowiedź, że „kwestie wzajemnych rozliczeń stanowiąby wielkie ryzyko”. Kuba ma zresztą ciągle stare długi do spłacenia, częściowo umorzone i rozłożone na lata. Wenezuela płaciła za ropę usługami medycznymi kubańskich lekarzy, Rosji mogłaby jako zapłatę zaoferować koncesje na wiercenia. Choć pierwsze prace poszukiwawcze zasobów ropy w Zatoce Meksykańskiej, prowadzone przez rosyjski Rosneft i hiszpański Repsol, zakończyły się niepowodzeniem, może i Kubie kiedyś tryśnie. Zastępuje na lepszy los.



OFERTA WAŻNA OD CZWARTKU, 29.09 DO ŚRODY, 05.10

WIĘKSZOŚĆ POLAKÓW

uznała smak kawy Bellarom
za tak samo dobry lub lepszy
niż kawy nr 1 na rynku*

GfK

* WYNIKI BADAŃ DOSTĘPNE NA WWW.GFK.COM/PL

aż 1 kg



Bellarom
Kawa ziarnista Espresso
Extra Dark Roast
100% Arabica

1 kg/1 opak.

CENA REGULARNA

29⁹⁹



Sprytnie
i Tanio
**KUPOWAĆ
MARKI LIDL!**

Kup książkę

Prawo powrotu

Nie pozwalajmy, żeby nasza inteligencja była niewolnikiem złych emocji – mówi **Dalajlama**, przestrzegając przed złudzeniem, że kiedy pokonamy złych ludzi, to wszystko będzie dobrze.



© PAP/PHOTO SHOT

JACEK ŻAKOWSKI: – Kiedy widzi pan miliony ludzi uciekających przez Morze Śródziemne i w wielu innych miejscach świata, myśli pan: „Coraz więcej nas, uchodźców, na świecie”? Czuje się pan jednym z nich?

DALAJLAMA: – Tak. Bo to zawsze jest wynik sytuacji w ich krajach. I skutek działania wielkich mocarstw. Wielkie narody – jak Ameryka, a teraz także Rosja – powinny skuteczniej demonstrować wolę zaprowadzenia pokoju w Syrii i całym regionie.

Winny jest Zachód?

Zachód zmagą się z problemem uchodźców, którzy tu uciekają. A powinien zmagać się z problemem pokoju w ich krajach. Na tym trzeba się koncentrować. Bo prawdziwym problemem są niezliczone tysiące dzieci i dorosłych, których życiu w ich własnych krajach grozi niebezpieczeństwo. Trzeba tym ludziom dawać tymczasowe schronienie. Trzeba dzieciom zapewnić dostęp do nauki. Młodym ludziom trzeba dać szansę zdobycia zawodu. Ale przede wszystkim trzeba im umożliwić powrót do ich krajów i odbudowanie tam normalnego życia. Nie chodzi o to, żeby tu zostali. Chodzi o to, żeby mogli wrócić i żyć normalnie u siebie. Z pomocą Unii Europejskiej.

A nie w Unii?

Celem musi być, żeby każdy mógł mieszkać u siebie. Sto tysięcy tybetańskich uchodźców mieszka w Indiach. Kilkadziesiąt tysięcy w różnych innych miejscach. To trwa już bardzo długo. Ale zawsze myślimy o tym, żebyśmy mogli wrócić tam, gdzie nasze miejsce. Do naszego kraju. Prawo powrotu jest prawem podstawowym. I prawo do odbudowania swojego własnego kraju. Każdy człowiek ma prawo być u siebie. I każdy chce być u siebie.

Myśli pan, że marzenie o powrocie jest naturalnym stanem umysłu każdego uchodźcy?

Powinno być. To jest oczywiste. Nawet naturalne fizycznie. Ludzie wyrastają w jakimś klimacie – ciepłym albo zimnym. Do niego są przyzwyczajeni. W Europie macie doskonałe systemy ogrzewania. Ale ogólnie jest zimno. I styl życia jest inny. I kultura islamu jest inna niż europejska. Lepiej, żeby każdy mógł mieszkać u siebie. Bycie uchodźcą to nic przyjemnego. To zawsze jest ostateczność.

Kiedy pierwszy raz pomyślał pan o sobie „uchodźcą”?

Pamiętam dokładnie ten proces. W 1959 r., 17 marca, uciekłem przed bezpośrednim chińskim zagrożeniem. Uciekałem do południowego Tybetu. Chciałem rozmawiać z chińskimi generałami w Lhasie. Wtedy, 20 marca 1959 r., Chińczycy nas zbombardowali.

Czuł się pan już uchodźcą?

To jeszcze nie było jasne. Nie wiedziałem jeszcze, czy schronić się za granicą, czy zostać w południowym Tybecie. Ale wysłałem swojego przedstawiciela do indyjskiego rządu. Bo nie wiedziałem, gdzie w razie konieczności uciekać – do Indii czy do Bhutanu. Indyjski rząd zdecydował, że przyjmie nas jako uchodźców.

Prawie 60 lat temu.

Jeszcze nie 60. Dokładnie 58. Liczę te lata dokładnie. Mamy z Indiami wyjątkowy związek. Bo buddyzm wywodzi się z Indii. I najpełniej przetrwał w tradycji tybetańskiej. Duchowo Indie zawsze były naszym domem. A od 1956 r. jest to też nasz dom fizycznie. Ministrowie ostrzegali Nehru, że jeśli da nam azyl, pogorszy stosunki z Chinami. Ale się nie przestraszył. Zaoferował nam pomoc. Umożliwił nowoczesne kształcenie, a jednocześnie zachowanie tradycyjnej buddyjskiej wiedzy i kultury. Dzięki niemu, będąc uchodźcami przez te 58 lat, przetrwaliśmy w naszej tożsamości i możemy teraz prowadzić dialog z Zachodem, który zaczął się interesować buddyjską wiedzą o ludzkich emocjach.

Wrócił pan w zachodni krajobraz. Wpływa pan na świadomość Zachodu. Dostał pan Nagrodę Nobla. Spotyka się pan z najpotężniejszymi ludźmi – prezydentami, monarchami, papieżem. Jest pan podziwiany i uważnie słuchany. Ale wciąż jest pan

uchodzącą. Świat się przyzwyczaił, że Dalajlama to „ten wspaniały niezłomny uchodźca”.

Ja się nie przyzwyczaiłem. Wciąż marzę o powrocie.

Jak długo można tak marzyć?

To nie jest tylko marzenie. Przecież problem trwa od 1956 r., kiedy Chińczycy zaczęli wywoływać zamieszki we wschodnim Tybecie, a potem w północno-wschodnim. W 1958 r. wkroczyli do centralnego Tybetu. Zaczęli aresztować tybetańskich mnichów i nauczycieli. Zarządzili reformy w swoim stylu. Zaczęli walkę klasową. A my cały czas stosowaliśmy zasadę walki bez przemocy. Nie chcieliśmy rozlewu krwi. W 1974 r. oświadczyliśmy, że nie chcemy niepodległości, chcemy pozostać w Chinach. Chcemy tylko autonomii. Wielu chińskich intelektualistów nas popiera. Ukazało się ponad 10 tysięcy popierających nas artykułów po chińsku pisanych przez Chińczyków.

I nic.

Nie nic. Popiera nas 400 mln chińskich buddystów. I część chińskich przywódców. Ale twardogłowi protestują, nawet kiedy spotykam się z przedstawicielami Unii Europejskiej.

Od lat.

Ale Chiny się zmieniają. 40 lat temu zwalczały wszelkie religie. Dziś już pogodziły się z tym, że 200 mln Chińczyków to chrześcijanie, 400 mln to buddyści, a ponad 100 mln to muzułmanie. Kto teraz mówi A, kiedyś powie B.

Wiosną zapowiedział pan, że będzie pan żył 113 lat...

To nie jest całkiem pewne. Tak powiedział mój sen, ale to może się zmienić. Chociaż lekarze twierdzą, że 100 lat mam pewne.

Zostańmy przy 113. Wierzy pan, że za życia wróci pan do Tybetu?

Oczywiście. Wielu Tybetańczyków wierzy.

Jak pan sobie wyobraża pojednanie między panem i resztą uchodźców, Chińczykami, którzy się osiedlili w Tybecie, Tybetańczykami, którzy tam zostali i jakoś musieli żyć pod chińską okupacją?

A jaki tu jest problem? Tylko polityka przeszkadza. Chińczycy i Tybetańczycy znają się historycznie. Chińczycy się osiedlają i przyjmują buddyzm. W 1959 r. mieliśmy chińskiego mnicha w klasztorze. Między ludźmi stosunki były serdeczne. Nie było wobec Chińczyków wrogości. Potem zaczęło się napięcie rasowe. Ale nie gorzej niż Europejczycy rozumiemy, co to pojednanie.

Pan wierzy, że nienawiść wyrasta tylko z polityki?

Dokładnie. Ale na przykład Lhasa jest teraz dużym miastem. Większość to Chińczycy. Tybetańczycy stali się mniejszością u siebie. To też wywołuje napięcia. Jest ryzyko powstania niebezpiecznych podziałów. Bo inny jest styl życia. Ale jeżeli takich różnic nie używa się do walki politycznej, to nie muszą być groźne.

Zawsze ktoś próbuje.

Chiński rząd ma swoją wizję postępu. Zamienia nasze miasta w chińskie metropolie. Chińczyków przybywa. Zwykle są kieszonkowi wykształceni. A władze dają im pracę kosztem Tybetańczyków. To tworzy napięcia. Ale o nich też można rozmawiać. Jestem optymistą. Zawsze lepiej jest być optymistą.

Czasem trudno.

A po co chce się pan martwić?

Wolę się nie martwić. Ale kiedy, patrząc dokoła, widzę, że wszystko się komplikuje politycznie i ekonomicznie, mnożą się kryzysy i nowe napięcia, nie mogę się uwolnić od pesymistycznego pytania: dlaczego wszystko, co – jak sądziliśmy – szło dobrze, zaczęło iść źle?

Chiński rząd zamienia nasze miasta w chińskie metropolie. Chińczyków przybywa. A władze dają im pracę kosztem Tybetańczyków.



Tak już naturalnie jest, że raz coś idzie lepiej, a raz gorzej. W historii Europy to bardzo dobrze widać. Po drugiej wojnie światowej Europejczycy cieszyli się pokojem i pojednaniem. A z czasem pod wpływem innych zaczęło się to kruszyć. Bo za daleko zaszedł rozdział władzy i religii. To jest chwilowy problem, który stworzono rozmyślnie. Ale skoro stworzyli go ludzie, to ludzie mogą się z nim uporać. Jeśli ludzie z całym entuzjazmem się za to zabiorą, mogą ograniczyć ten problem.

Jak?

Wzmacniając w życiu publicznym harmonię i szacunek.

Brzmi dobrze. Ale każdy mówi, że chce miłości, pokoju, sprawiedliwości, a wszyscy walczyliśmy, niszczyliśmy, zabijamy. Łudzimy się, że wreszcie będzie dobrze, a potem zawsze jest jak zawsze.

Bo ciągle szukamy zła w ludziach. Ciągłe myślimy, że kiedy pokonamy kogoś, to wszystko będzie dobrze. A tak tylko karmimy zło. Hitler postanowił wymordować Żydów, bo uważał, że są źródłem zła. To był straszny błąd, który doprowadził do strasznego zła. Ale takie myślenie wraca. Teraz wiele osób uważa, że wszystkiemu winny jest islam. Że trzeba nad nim zapanować siłą. To nierealistyczne. Terroryzm może wyeliminować tylko humanistyczne podejście. Pojednanie, przebaczenie, przyjaźń. To trudne. Ale innej drogi nie ma.

Zabić terroryzm miłością?

Tak!

Może to niemiłe, ale ludzie giną i potrzebujemy realnych rozwiązań, a kiedy słyszę, że trzeba pokonać terroryzm przyjaźnią i przebaczeniem, to – z całym szacunkiem – jakoś mi się nie wydaje, że to jest realistyczny projekt.

A jaki jest realistyczny? Kiedy zabijesz sto tysięcy terrorystów, to terroryzm zniknie? Nie zniknie. Stworzysz setki tysięcy mścicieli. Dzieci, braci, rodziców. Będziesz miał jeszcze więcej przemocy w przyszłości. Trzeba właściwie użyć ludzkiej inteligencji. Nie można pozwalać, żeby nasza inteligencja była niewolnikiem złych emocji.

Nie można pozwalać, ale pozwalamy.

Chciałbym uwierzyć, że umiemy to zmienić, ale nie potrafię. Nawet panu mądrość, odwaga, inteligencja i wiara nie starczą do pokonania zła. Od tylu lat jest pan na wygnaniu. Nie potrafię zrozumieć, skąd wiara w zwycięstwo dobra, skoro sam ma pan takie doświadczenie?

Wierzę w człowieczeństwo. Nauka już potwierdza, że człowiek jest istotą z natury współczującą. To jest źródło nadziei. Gdybym był – jak ty – pesymistyczny co do ludzkiej natury, straciłbym nadzieję. Trzeba się przed tym bronić. Realistycznie patrząc: jest dużo problemów. Od razu się ich nie załatwi. Ale jeśli patrzy się w dłuższej perspektywie – prawda i zrozumienie pomogą. W naszym problemie z Chinami mamy wybór między siłą broni i siłą prawdy. Chwilowo broń jest skuteczniejsza. Ale na dłuższą metę prawda jest silniejsza. Z tej wiary czerpię entuzjazm.

Bardzo szczerze zazdroścę.

To kwestia wykształcenia. Uczono nas czego innego. Źródłem problemu jest edukacja materialistyczna skupiona na świecie fizycznym, a nie na wartościach wewnętrznych. Ludzie mają w głowach to, czego ich nauczono.

Sam się pan teraz śmieje.

Uśmiecham się. Bo jesteśmy w pułapce własnego rozumu. Trzeba się z niej wydostać.

Dalajlama jest honorowym obywatelem Wrocławia, który odwiedził jako Europejską Stolicę Kultury 2016.